

Jan Sowa

Z takim sposobem uprawiania "polemik naukowych" godzić się nie można : odpowiedź Wacławowi Uruszczakowi

Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego 18, 273-298

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

JAN SOWA
(KRAKÓW)

Z takim sposobem uprawiania „polemik naukowych” godzić się nie można. Odpowiedź Wacławowi Uruszczakowi

Poziom dyskusji medialnych nie jest w Polsce wysoki i, co gorsza, systematycznie spada. Wypełniają je inwektywy, insynuacje, teorie spiskowe, pomówienia oraz radykalne oskarżenia poparte domysłami i spekulacjami o zerowej wartości intelektualnej. Internet został zatruty przez zjawiska popularnie zwane trollowaniem¹ oraz hejterstwem². Można by mniemać, że reguły prowadzenia dyskusji na łamach czasopism naukowych są inne: że sądy, zwłaszcza te krytyczne, powinny być artykułowane jasno i precyzyjnie, aby wyeliminować dwuznaczności lub niedopowiedzenia i uniknąć podejrzeń, że działa się z pobudek innych niż merytoryczne; że wszelkie denuncjacje muszą być poparte prawdziwymi argumentami i że argumenty owe powinny być tym silniejsze i tym bardziej niepodważalne, im poważniejsze są wątpliwości; że tak jak w postępowaniu sądowym obowiązuje zasada domniemanej niewinności, tak też w debatach akademickich nie zmusza się nikogo do udowadniania sądów przeczących i wykazywania, że „nie jest się wielbłądem”, jak mówi kolokwialne, choć trafne wyrażenie. Tekst W. Uruszczaka *Z takim sposobem uprawiania nauki godzić się nie można* nie byłby jednak dobrym przykładem dla zilustrowania tej tezy. Chociaż Autor na poziomie deklaracji wpisuje się w najbardziej rygorystyczne poszukiwanie prawdy i badanie obiektywnej rzeczywistości, jego artykuł pełen jest arbitralnych rozstrzygnięć, wieloznacznych konstatacji, ukrytych wartościowań oraz ambiwalencji, dla których nie powinno być miejsca w rzeczowej debacie intelektualnej.

W. Uruszczak oskarża mnie o... No właśnie, tu tkwi pierwszy i zasadniczy problem z jego artykułem. Chociaż wytacza się w nim działa najcięższego kalibru, mówiąc o plagiacie, przywłaszczeniu i intelektualnej nierzetelności i chociaż w tekście pojawiają się przykłady zaczerpnięte między innymi z mojej książki, te dwa elementy nie są nigdzie *explicite* i silnie połączone. Termin „plagiat” odmieniony przez różne-

¹ <https://pl.wikipedia.org/wiki/Trollowanie>.

² <https://dobryslownik.pl/slowo/hejterstwo/218710/5/203109>.

go rodzaju przypadki i umieszczany w najróżniejszych związkach frazeologicznych występuje w tekście kilkadziesiąt razy. Jednak **nie znajdziemy w nim wyartykułowanego wprost twierdzenia, że to ja właśnie dopuściłem się plagiatu**. Jednocześnie Autor zdaje się sugerować – ale tylko zdaje się, znów: bez kierowania oskarżenia wyraźnie pod moim adresem – że na podstawie garstki wątpliwych przykładów liczących od kilku słów do 2 zdań wyrwanych z książki o **objętości ok. miliona znaków** (25 arkuszy wydawniczych), liczącej w druku **ponad 550 stron**, zawierającej **prawie 1000 przypisów** oraz **ponad 350 pozycji w bibliografii**, całą moją aktywność intelektualną uznać należy za hochsztaplerkę. Ta niejednoznaczność i ambiwalencja mają pewną funkcję. Autor swoją wypowiedź skonstruował tak, aby jej bohaterów – oprócz mnie obiektem ataków jest również Dariusz Szpoper, profesor nauk prawnych, historyk doktryn politycznych i prawnych – Czytelnik bądź Czytelniczka mogli uznać za przestępców, chociaż o łamaniu prawa mówi się tylko pokątnie, w przypisach. Nigdzie nie pada wyraźnie stwierdzenie, jaki paragraf, jakiej ustawy złamano. Figura ta jest znana z aktywności różnego rodzaju tzw. politycznych „buldogów”, jednak jej wykorzystanie w tekście aspirującym do polemiki naukowej nie powinno mieć miejsca. Dlatego zarzuty W. Uruszczaka nie mają, moim zdaniem, żadnej wagi ani istotności. Trzeba by mieć w sobie dużo sarmackiego pieniactwa, aby deklaracje Autora o dokonywaniu przez mnie aktów przejęcia cudzej własności intelektualnej potraktować poważnie. Publikowanie podobnych tekstów jest w mojej ocenie **zasadniczym psuciem** nie tylko atmosfery, ale również poziomu dyskusji w środowisku akademickim. Jak pokażę, konstruuąc swoje „dowody”, Autor dopuszcza się działań bardziej nagannych niż te, które przypisuje mnie czy Dariuszowi Szpoperowi.

Spójrzmy jednak najpierw na konkretny przykład, które mają **być może** dowodzić jakiś mocnych i ogólnych tez na temat mojej rzetelności intelektualnej i zdolności do wykonywania zawodu naukowca. **Jedynym** mocnym argumentem Autora jest domniemane przywłaszczenie przeze mnie fragmentu z książki Andrzeja Zajączkowskiego *Szlachta polska. Kultura i struktura*³. Rzeczywiście, przepisanie słowo w słowo 8 punktów z czyjegoś oryginalnego opracowania nie powinno mieć miejsca. Muszę jednak W. Uruszczaka zmartwić: w maszynopisie złożonym przeze mnie w wydawnictwie Universitas fragment ten jest **wyraźnie wyróżniony** tzw. cytatem blokowym, tak jak wiele innych cytowań (mniejsza czcionka, odstęp jednej linii przed oraz po cytacie, margines z lewej i prawej). W tekście wydrukowanym pozostały tylko i wyłącznie puste linie odstępu na górze i dole, co zresztą wyraźnie wskazuje, że układ maszynopisu nie był tu ciągły i cytat oddzielono od reszty (nigdzie indziej w moim własnym tekście podobnych odstępów nie stosuję;

³ A. Zajączkowski, *Szlachta polska. Kultura i struktura*, Warszawa 1993.

są tylko przy cytatach blokowych). W procesie składu zginęło formatowanie i marginesy, co się zdarza.

Mogę każdej komisji bądź instytucji pragnącej zbadać tę sprawę udowodnić natychmiast taki stan rzeczy poprzez udzielenie jej dostępu do mojej skrzynki poczty elektronicznej. Zapisana jest tam kopia wiadomości, w której wysłałem maszynopis komitetowi redakcyjnemu serii „Horyzonty Nowoczesności”, składając propozycję wydawniczą. Jest to kopia zapisana na serwerach serwisu Gmail, więc potwierdzenie jej autentyczności stanowi zadanie banalne. Dlaczego w finalnej wersji cytowanie to jest źle wyróżnione? Cóż, z tego samego powodu, dla którego czasem spadają samoloty, pomimo tego, że ich rutynowymi przeglądami zajmują się zastępy mechaników: z powodu ludzkiego błędu. Biorąc pod uwagę rozmiar książki, liczbę zawartych w niej cytowań, grafy, tabelki i mapy, nie jest to szczególnie zaskakujące. Za tego typu potknięcia, dopóki są pojedyncze, nikt nie może być sensownie pociągnięty do odpowiedzialności – ani redaktorzy merytoryczni książki, ani osoby ją składające ani korektorki ani tym mniej sam autor bądź autorka – są one bowiem dziełem niezamierzonego przypadku bądź nieuwagi, a ich szkodliwość jest znikoma.

Reszta przykładów przedstawionych przez W. Uruszczaka mieści się w spektrum rozciągającym się od kuriozum przez złe stosowaniem kryteriów selekcji po praktyki noszące znamiona manipulacji. Blisko tego pierwszego bieguna umieścić należy przypadek dotyczący, jak określa to W. Uruszczak, „odpisu” z pracy Zofii Zielińskiej *Ostatnie lata Pierwszej Rzeczypospolitej*⁴. Wątpliwości Autora budzi powtórzenie przeze mnie bez cudzysłowów w parafrazie oryginalnego tekstu zwrotów takich jak „autor tego pomysłu” czy „miała doprowadzić do”. W neutralnym kontekście powiedziałbym, że to jakieś nieporozumienie, bo mówimy o powszechnie używanych związkach syntagmatycznych, których powtórzenia nie można uznać za zawłaszczenie, ponieważ nikt nie ma na nie praw własności intelektualnej. Nieżyczliwa wobec mnie intencja Autora jest jednak tak wyraźna, że muszę uznać to za równie desperacką, co nieudaną próbę znalezienia jakiegokolwiek przykładu, który pozwoliłby W. Uruszczakowi postawić mnie w negatywnym świetle.

Takich sytuacji jest więcej. Tak na przykład Autor zestawia fragment pochodzący z książki Zbigniewa Wójcika *Międzynarodowe położenie Rzeczypospolitej*⁵ z dokonaną przeze mnie parafrazą, która liczy 72 wyrazy i w której wbrew sugestiom W. Uruszczaka powtarza się dosłownie – czyli **słowo w słowo – tylko jedno, liczące 3 słowa** wyrażenie: „w związku z elekcją”. Wbrew temu, co twierdzi W. Uruszczak, obecne u Wójcika określenie „ziemie na wschodzie” nie jest wcale powtórzone

⁴ Z. Zielińska, *Ostatnie lata Pierwszej Rzeczypospolitej*, „Dzieje Narodu i Państwa Polskiego”, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1986.

⁵ Z. Wójcik, *Liberum veto*, „Dzieje Narodu i Państwa Polskiego”, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1992.

w mojej parafrazy, gdzie pojawia się sformułowanie „nowych terenów na Wschodzie”. Ale nawet gdyby było „odpisane” dosłownie „ziemie na wschodzie”, to przecież mowa tu o określeniu geograficznej lokalizacji, który to termin nie podlega ochronie własności intelektualnej i który trudno też w ogóle sensownie na coś zamienić. Czy miałem napisać „ziemie, które leżały nie na zachód, nie na południe ani nie na północ od Królestwa Polskiego”? Wtedy W. Uruszczak stwierdziłby zapewne, że wyrażenie „nie na zachód, południe ani północ” denotuje tę samą przestrzeń geograficzną, co określenie „ziemie na wschodzie”, a więc interwencja polegająca na zamianie określenia na synonimiczne ma charakter tylko redakcyjny i *ergo* dokonałem „fałszywej parafrazy”.

Równie pozbawione sensu jest denuncjowanie domniemanego powtórzenia określenia „chciwość magnatów” i to nie tylko dlatego, że wcale nie pojawia się ono **ani w „odpisie” ani w oryginale**, jak **błędnie** uważa Autor (*sic!*), ale ponieważ zawarta w nim diagnoza niewątpliwej cechy elit I Rzeczypospolitej nie nosi znamion oryginalnego odkrycia czy sformułowania Zbigniewa Wójcika i dlatego cudzysłów nie miałby do niego zastosowania.

Oto inny podobny przypadek. W. Uruszczak „inkryminuje” fragment jednego ze zdań brzmiący: „Brzostowcy, Przędziecty i Rzewuscy pochodzili z ziemi łomżyńskiej, a Jabłonowscy z ciechanowskiej”. Poza jednym powszechnie używanym czasownikiem mamy w nim same nazwy własne i spójniki, a moje dosłowne powtórzenie dotyczy tylko i wyłącznie terminu „ziemi łomżyńskiej”. Proszę W. Uruszczaka o propozycję, jak sensownie i niefałszywie sparafrazować – czy też „wyrazić własnymi słowami”, jak domaga się tego Autor – podobny ciąg nazw własnych, nie narażając się jednocześnie na śmieszność oraz o uzasadnienie sensowności takiego zabiegu. Oczekiwałbym również dowodu, że suche zestawienie znanych skądinąd wcześniej faktów dokonane w 90% przy pomocy nazw własnych oraz spójników nosi znamiona oryginalnej twórczości objętej ochroną własności intelektualnej. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem oraz powszechnie przyjętą zasadą, zdania komunikujące znane i wielokrotnie opisywane fakty w powszechnie przyjęty sposób, jak na przykład „We wrześniu 1939 roku hitlerowskie Niemcy i bolszewicka Rosja dokonały agresji na II Rzeczpospolitą Polską” nie są objęte ochroną prawną typową dla własności intelektualnej i dlatego nie trzeba ich ujmować w cudzysłowy. Bo czyje miałyby to być w ogóle słowa? Takie bądź podobne wyrażenia nie tylko relacjonują to, co wszyscy wiedzą, ale pojawiają się w podobnej formie w niezliczonej liczbie publikacji i opracowań. Autorzy ich używający też powtarzają zdania, które wielokrotnie padały z innych ust i w innych kontekstach. Czy znaczy to, że wszyscy jesteśmy plagiatorami i oszustami? Nie wiem, gdzie znajduje się granica szaleństwa.

We wstępnej partii tekstu Autor przeprowadza skrótowe rozważania dotyczące tego, kiedy może być mowa o plagiacie, a kiedy nie i na czym polega różnica między

rzetelną a nierzetelną parafrazą. Robi z nich jednak później selektywny tylko użytek, formułując oskarżenia wyraźnie sprzeczne z przedstawionymi przez samego siebie zasadami. Tak na przykład cytuje fragment broszury Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego dotyczącej dobrych praktyk akademickich. Stwierdza się tam, że dozwolone jest powtarzanie bez cudzysłowów, a **nawet bez wskazania źródła** wyrażen będących „powszechnie stosowaną w danej dyscyplinie naukowej formułą bądź utartą (i powtarzalną) kompozycją”⁶. Tymczasem W. Uruszczak wytyka mi jako nieuprawnione „odpisy” fragmenty mojej książki podpadające ewidentnie pod tę kategorię, jak na przykład sformułowanie „trzy elementy świadomości stanowej wyróżnia Maria Bogucka za E. Lousse”. Wyrażenie „badacz X stwierdza za badaczką Y, że A” jest formułą powszechnie używaną, a nawet nadużywaną w tekstach naukowych. Poza tym zacytowany fragment to w większości nic innego jak parafraza adresu bibliograficznego! To, że ktoś to gdzieś napisał, nie jest uzasadnieniem dla używania cudzysłowów, ponieważ nie są to czyjeś słowa w sensie własności intelektualnej. W tym tkwi *clue* sprawy: **nie wszystko, co wypowiadamy jest w sensie prawnym naszą własnością, ale tylko to, co nosi znamiona konstrukcji twórczej i oryginalnej**. Argumentacja W. Uruszczaka wydaje się tego w ogóle nie brać pod uwagę.

W innym, *per saldo* podobnym w mojej ocenie miejscu, Autor sugeruje, że przywłaszczyłam sobie fragment książki Ernsta Kantorowicza. Moment ten zasługuje na szczególną uwagę. Wacław Uruszczak twierdzi, że dosłownie przepisałem całe zdanie z pracy *Dwa ciała króla*, tymczasem cytuje tekst źródłowy **w formie niepoprawnej (*sic!*), na siłę upodobnionej do mojego tekstu**. W mojej książce zdanie owo brzmi: „Tomasz z Akwinu, podążając za Augustynem, definiował „fikcję” w sposób pozytywny jako *figura veritatis*, czyli formę prawdy”⁷. U Kantorowicza mamy natomiast zdanie następujące (rozbieżności między wersją faktyczną, a tą podawaną przez W. Uruszczaka są przeze mnie podkreślone oraz pogrubione): „Tomasz z Akwinu, podążając **w istocie [w moim tekście nieobecne]** za Augustynem, definiował „fikcję” w **sensie pozytywnym** jako *figura veritatis* [**brak zakończenia „czyli formę prawdy” obecnego tylko w moim tekście**]. Niby to wszystko tylko szczegóły, ale zmuszają one jednak do zasadniczej rewizji opinii W. Uruszczaka o „odpisywaniu” przeze mnie czegokolwiek. Nieprawdą jest, że jakiegokolwiek zdanie dosłownie się tu powtarza. Dosłownie oznacza „słowo w słowo”, po angielsku mówi się *literally*, czyli „litera po literze”. **Takie i tylko takie powtórzenie może i powinno być umieszcza-**

⁶ Zespół do Spraw Dobrych Praktyk Akademickich przy Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, *Rzetelność w badaniach naukowych i poszanowanie własności intelektualnej*, Warszawa 2012, <http://www.nauka.gov.pl/publikacje2/rzetelnosc-w-badaniach-naukowych-oraz-poszanowanie-wlasnosci-intelektualnej.html> [dostęp: 10.09.2015].

⁷ J. Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Kraków 2011, s. 234.

ne w cudzysłowie. Autor twierdzi, że zdanie jest przepisane dosłownie, tymczasem nie jest, więc **nie mówi prawdy**.

Dalej: biorąc pod uwagę rozmiary rzeczzonego zdania, manipulacja W. Uruszczaka jest potężna: zdanie liczy źródłowo 17 słów, w wersji podanej przez Autora nie zgadza się ich 7, a więc **zdanie zmanipulowano w prawie 50%**. Naganny jest wyraźnie celowy i zamierzony charakter manipulacji. Możliwość, aby była ona wynikiem przypadku jest *nomen omen* dosłownie astronomicznie mała. Owe 7 słów składa się z 46 znaków. Liczbę wszystkich możliwych permutacji tego zbioru, które musimy brać pod uwagę, jeśli mówimy o działaniu przypadku, obliczamy jako silnię liczby 46 i zapisujemy „46!”. Wynosi ona $5.5026221598121e+57$. Jest to liczba tak wielka, że da się ją sensownie przedstawić tylko w taki właśnie sposób zwany zapisem wykładniczym. Dokładna wartość 46! to 5 502 622 159 812 088 949 850 305 428 800 254 892 961 651 752 960 000 000 000. Aby określić więc prawdopodobieństwo, że za rozbieżność między faktyczną, źródłową formą zdania Kantorowicza a zmanipulowaną wersją W. Uruszczaka odpowiada przypadek musimy 1 podzielić przez tak właśnie wielką liczbę. Dla porównania prawdopodobieństwo trafienia szóstki w totolotka w systemie „6 z 49” to tylko 1: 13 983 816. Staralem się znaleźć opis wydarzenia równie mało prawdopodobnego, natrafiłem jednak tylko na informację, że jest to prawdopodobieństwo mniejsze od granicy wyznaczonej przez tzw. stałą Plancka, a jest to w naszym wszechświecie granica możliwości określenia prawdopodobieństwa jakichkolwiek wydarzeń w ogóle. Ujmując kwestię inaczej: taki przypadek musiałby być wynikiem nadprzyrodzonej interwencji, czyli cudu. Zgodnie ze wszystkimi zasadami metodologii naukowej, których uczono mnie na studiach, w nauce cud nie może być kategorią eksplikacyjną. Podobnie jest, o ile wiem, w postępowaniach sądowych. Nie można również sensownie założyć, że sytuacja, o której mowa jest wynikiem pomyłki we wpisywaniu tekstu w tabelkę. Świadczy o tym komentarz, jakim opatrzył go W. Uruszczak. Ma on sens tylko w odniesieniu do takiej **wypaczonej** prezentacji oryginału oraz „odpisu”, jakiej dokonał Autor. Aby taką interpretację uznać za przypadek, musielibyśmy założyć, że W. Uruszczak skomponował nieumyślnie i nieświadomie komentarz pasujący do przypadkowo źle wklejonego cytatu. Komentarz w przypisie liczy 351 znaków. Silnia 351, a więc liczba możliwych kombinacji tak dużego zbioru wynosi 4 337 917 944 511 865 513 005 271 511 805 780 648 581 075 795 536 875 007 367 969 491 076 265 541 047 945 129 014 403 873 654 892 363 452.

Nie chciałbym, aby moje rozważania, które nie z moje winy ocierają się o absurd, były potraktowane jako robienie sobie z czegoś żartów. Rozpisuję się na ten temat tak obszernie, ponieważ uważam, że **oskarżenie kogoś o celową manipulację jest niezwykle poważne i musi być uzasadnione w najwyższym możliwym stopniu**. Jak

widać, tutaj jest uzasadnione tak, jak tylko się da zgodnie z regułami współczesnej wiedzy naukowej. Po W. Uruszczaku oczekiwałbym podobnej skrupulatności.

Na tym problemy z tym jednym jedynym zdaniem się nie kończą. Warto wskazać, że w oryginalnym tekście Kantorowicza wyrażenie „figura veritatis” **nie zostało ujęte w cudzysłowy**, chociaż **jego autorem nie jest Kantorowicz**, ale Augustyn (w przypisie przywołany jest fragment *De quaestionibus Evangelistarum*). W przedkładzie *Dwóch ciał króla* wyrażenie to zapisane jest kursywą, co zgodnie z przyjętą tam konwencją edytorską sygnalizuje jednak tylko tyle, że jest to zwrot obcojęzyczny (łaciński). Przyjmując sposób rozumowania i kryteria oceny W. Uruszczaka, można tylko stwierdzić, że Kantorowicz przywłaszczył sobie dorobek intelektualny innego autora. Trzeba w związku z tym rozważyć poddanie *Dwóch ciał króla* równie skrupulatnemu badaniu, jak to, które W. Uruszczak przeprowadził na mojej książce. Nic takiego nigdy oczywiście się nie stanie z jednego bardzo prostego powodu: Ernst Kantorowicz, w przeciwieństwie do mnie, po pierwsze był uczonym zagranicznym, po drugie zaś jest już martwy. Z tych dwóch powodów nie uczestniczy w obiegu polskiej nauki i nie zagraża pozycji symbolicznej czy instytucjonalnej żadnego polskiego uczonego lub uczoney. Może spoczywać w pokoju, wolny od natarczywych inwigilacji akademickich trolli.

Mnie osobiście wydaje się, że oskarżanie Ernsta Kantorowicza o dokonanie plagiatu (a nie wiadomo, czy plagiatorem nie był również św. Tomasz, który, jak informuje Kantorowicz, owego pojęcia używał w swoich tekstach i być może nie zawsze w cudzysłowie) jest absurdem. Sensowniej jest przyjąć, że stanowi ono po prostu powszechnie używane wyrażenie, którym wolno posługiwać się bez cudzysłowów. W takim razie nie można jednak pod jego adresem wysuwać oskarżeń o zawłaszczenie i trzeba je, podobnie jak zmiany i uzupełnienia dokonane przeze mnie, usunąć z listy sformułowań bezprawnie powtarzanych dosłownie. Co nam jednak wtedy zostanie? Niezbyt wiele: nazwy własne, spójniki, znaki interpunkcyjne i jeden czasownik. Powtórzone dosłownie wyrażenia to tylko „Tomasz z Akwinu, podążając” oraz „definiował «fikcję»”. Wielkie oskarżenie o intelektualne szalbierstwo rozpada się w kuriozum i absurd.

Aby tego wszystkiego wciąż było jeszcze mało (gdzie jest dno?), **nie jest to jedyna manipulacja tekstem oryginalnym**, jakiej W. Uruszczak dokonuje w swoim artykule. Za chwilę omówię inny podobny zabieg.

Miejsce, gdzie w obrębie jednego krótkiego zdania kumuluje się tak wiele problemów i wątpliwości – manipulowanie tekstem źródłowym, niezrozumienie konwencji określającej, co jest, a co nie jest możliwym do powtórzenia zwrotem, formułowanie oskarżeń największego kalibru, które przy bliższej analizie osuwają się w absurd oraz niezdolność stosowania przez W. Uruszczaka przywoływanych przez

samego siebie konwencji – można by nazwać **jądrem ciemności** jego tekstu oraz jego „metodologii” „analizy” „naukowej”. Jeśli określenie to nie pasuje do sytuacji, to tylko dlatego, że wokół panuje taki mrok, iż nie da się właściwie stwierdzić, gdzie w tekście panoszy się większy obskurantyzm. W kontekście publikacji, którą atakuje W. Uruszczak, nie mogę jednak nie odnotować ironii całej sytuacji: Autor wyklada się na „ciele króla” podobnie jak sarmacka Rzeczpospolita będąca jednym z głównych przedmiotów mojego zainteresowania w owej publikacji. Jego argumenty są równie urojone i kuriozalne co państwowość analizowanego przeze mnie dziwnego i dysfunkcyjnego cielska polskiej szlachty. Szkoda, że W. Uruszczak nie podniósł jednego jeszcze „problemu”, a mianowicie „odpisu” z Kantorowicza, jakiego dokonałem w tytule swojej książki. Zarówno u mnie, jak i u niego pojawia się przecież „ciało króla”, którego nie ujmuję w cudzysłowy! Można by wtedy jeszcze ładniej domknąć *gestalt*.

Chciałbym podkreślić jedną kwestię o fundamentalnym znaczeniu, o której Wacław Uruszczak nawet nie wspomina. Miejsca, w których parafrazuję prace innych badaczy i badaczek – tak te przywołane przez Autora, jak i wiele innych; w książce jest, jak już wspomniałem prawie tysiąc przypisów – są **skrupulatnie opisane odnośnikami do źródeł**. O tym, że jest to opis poprawny, świadczy nic innego jak fakt, że W. Uruszczak bez problemu i trafnie odszukał miejsca, do których się odwoływałem. Przytaczane przez niego adresy bibliograficzne prawie dokładnie pokrywają się z moimi, co potwierdza tylko poprawność dokonanych przeze mnie adnotacji (mówię „prawie”, ponieważ to W. Uruszczak błędnie opisał jedno ze źródeł, o czym za chwilę). Nie jest więc prawdą, że przypisy umieszczam w swoim tekście byle gdzie, przypadkowo, w oddaleniu od miejsc, w których pojawiają się odwołania czy też w sposób nie pozwalający zidentyfikować, o co chodzi. Z tego też powodu nie ma w mojej książce problemów podobnych do tych, jakie opisuje W. Uruszczak w pierwszej partii tekstu, gdzie powołuje się na przykłady pochodzące ze stron internetowych uniwersytetu w Princeton⁸. Pokazują one różnego rodzaju przejęcia – nieujawnione cytowania oraz parafrazy – które **nie zostały opatrzone żadnym odnośnikiem**. Nie ma wątpliwości, że coś takiego jest niedopuszczalne, nie jest to jednak przypadek dotyczący mojej pracy.

Odnotowuję to wszystko tylko dla porządku, bowiem zgodnie z przyjętą przez siebie konwencją nie nazywania rzeczy po imieniu i uprawiania retoryki opartej na metonimii, W. Uruszczak nie konstruuje żadnego wyraźnego powiązania między teoretycznymi ustaleniami dotyczącymi plagiatów przywoływanymi przez niego na początku, a przedstawianymi później wyimkami z mojej książki. Tekst skonstru-

⁸ Brak autora, *Rights, Rules, Responsibilities*, 2014 edition, <http://www.princeton.edu/pub/rrr/part2/index.xml#comp24>, sekcja 2.4.9. [dostęp: 17.09.2015].

owany jest zgodnie z następującym schematem: „1/ robienie pewnych rzeczy jest złe oraz nielegalne, 2/ Sowa robi to i tamto, 3/ łapmy przestępców!”. Jest to zabieg **niedopuszczalny etycznie ze względu na niejednoznaczność przesłania** przy jednoczesnym dopuszczaniu interpretacji skrajnie obciążającej teksty i osoby przywołane w artykule. Ale jest również niedopuszczalny z punktu widzenia metodologicznego. **Fundamentalnym obowiązkiem intelektualnym autora bądź autorki artykułu naukowego jest udowodnienie związków przyczynowo-skutkowych między opisywanymi zjawiskami oraz wykazanie użyteczności kategorii przywołanych w tekście.** Bez tego nie ma mowy o jakimkolwiek obiektywnym opisie czegokolwiek, na czym, jak deklaruje W. Uruszczak, ponoć mu zależy.

Jest ważne, że wszystkie stosowane przez mnie parafrazy są krótkie, a nawet bardzo krótkie, co pokazują przykłady zaprezentowane przez W. Uruszczaka: 6 z nich to pojedyncze zdania (nawet jeśli, na korzyść Autora, a niekorzyść moją, za zdania uznać wyrażenia będące równoważnikami zdań albo tylko wyrwaną z kontekstu sekwencją wyrazów), a 4 z nich mają długość dwóch zdań⁹. Trudno w tej sytuacji uznać, abym starał się celowo zdezorientować czytelnika bądź czytelniczkę, wrzucając w nieuzasadnionych miejscach przypisy odnoszące się do całych akapitów bądź większych fragmentów, co sugeruje W. Uruszczak.

Jednym z rozstrzygnięć, jakie Autor czyni arbitralnie, w sposób równie nieuzasadniony, co wygodny dla przedstawianej przez niego linii argumentacji, jest ocena tego, co oznacza umieszczenie gdzieś przypisu. Jego zdaniem, jeśli nie ma cudzośłów, przypis informuje o przejęciu z jakiegoś tekstu jedynie informacji, a nie, na przykład, o zreferowaniu jego treści. Można, oczywiście, przyjąć taką konwencję rozumienia przypisu, jest to jednak konwencja Autora, a nie nauki w ogóle. Odnośnik w formie przypisu oznacza, że to, co powiedziano w miejscu, gdzie jest umieszczony powiedziano również tam, dokąd odsyła adres bibliograficzny. Może chodzić o dane, ale również o omawianie czyjejś wypowiedzi. Jest to dopuszczalny i powszechny sposób użycia przypisów.

Powyższe kwestie doskonale ilustruje zestawienie „odpisów” z mojej książki sporządzonych przez W. Uruszczaka z przykładami faktycznego naruszenia zasad i praw cytowania. Ponieważ Autor nie od dziś zajmuje się tropieniem nierzetelności w pracach innych naukowców, kilka bardzo dobrych przykładów przytacza on w innej swojej publikacji zatytułowanej *Z takim sposobem uprawiania nauki godzić się nie można*. (Uwaga: nie chodzi tu o tekst z czasopisma „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, do którego się tu odnoszę, ale o inną publikację o niemalże takim samym tytule; zbieżność ta nie jest, w mojej ocenie, przypadkowa, o czym za chwilę).

⁹ Wyjątkiem wydaje się dołączony przez W. Uruszczaka po złożeniu przeze mnie odpowiedzi w Redakcji przykład dotyczący książki Z. Wójcika *Liberum veto*. Jest to jednak raczej kolejny przykład manipulacji. Omawiam go w *Postscriptum* do niniejszego tekstu.

Oto jeden z nich (powtórzenia dosłowne zaznaczyłem podkreśleniem oraz wytuszczeniem, a modyfikacje drobne, czyli polegające na zmianie samej tylko formy językowej słowa, a nie zastąpieniu go innym – samym podkreśleniem¹⁰):

<p>Tekst pierwotny: I. Subera, <i>Historia źródeł i nauki prawa kanonicznego</i>, Warszawa 1977 s. 135.</p>	<p>Tekst wtórny</p>
<p><u>Sprawa</u> ułożenia <u>nowego kodeksu prawa partykularnego</u> leżała na sercu arcybiskupowi Mikołajowi Trąbie (1412 –1422) od samego <u>początku jego rządów na stolicy gnieźnieńskiej</u>. Już bo wiem w roku 1413 r. <u>uzyskał on</u> dla siebie <u>bullę papieską Jana XXIII</u> (do którego obediencji należała wówczas Polska), <u>zezwalającą mu na przeprowadzenie na synodzie prowincjonalnym zamierzonej kodyfikacji</u> prawa partykularnego Kościoła w Polsce. <u>Papież na prośbę arcybiskupa pozwala istniejące statuty prowincji gnieźnieńskiej, chociażby przez legatów wydane i przez Stolicę Apostolską zatwierdzone, zebrać, przejrzeć i uzupełnić</u>, jednym słowem skodyfikować w ten sposób, aby te <u>nowe</u> statuty zastąpiły <u>dawniejsze</u> i miały <u>moc wyłączną</u>. <u>Dzięki temu metropolita mógł dokonać dzieła reformy nie połowicznie, jak jego poprzednik Jarosław Bogoria Skotnicki, lecz w sposób całkowity i kompletny. Po złożeniu godności papieskiej Jana XXIII i obiorze Marcina V (1417–1431) postarał się po raz drugi</u></p>	<p><u>Sprawa</u> sporządzenia <u>nowego kodeksu prawa partykularnego</u> znajdowała się w planach metropolity już od <u>początku jego rządów na stolicy gnieźnieńskiej</u>. <u>Uzyskał on</u> w 1413 r. <u>bullę papieża Jana XXIII</u> (1410 –1415), <u>zezwalającą mu na przeprowadzenie na synodzie prowincjonalnym zamierzonej kodyfikacji</u>. <u>Papież na prośbę arcybiskupa pozwolił istniejące statuty prowincji gnieźnieńskiej, chociażby przez legatów wydane i przez Stolicę Apostolską zatwierdzone, zebrać, przejrzeć i uzupełnić</u>. Celem stało się sporządzenie <u>kodyfikacji</u> w formie mogącej zastąpić <u>dawniejsze</u> prawo <u>nowymi</u>, zyskując <u>wyłączną moc</u> prawa. <u>Dzięki temu metropolita mógł dokonać dzieła reformy nie połowicznej, jak jego poprzednik Jarosław Bogoria Skotnicki, lecz w sposób całkowity. Po złożeniu godności papieskiej Jana XXIII i wyborze Marcina V (1417–1431) na papieża, postarał się po raz drugi o zezwolenie na</u> opracowanie <u>kodyfikacji, co nastąpiło w bulli z 7 stycznia 1418 r. Po powrocie arcybiskupa</u></p>

¹⁰ Względem oryginału W. Uruszczaka zmodyfikowałem porządek kolumn tak, aby tekst pierwotny był po lewej, a tekst wtórny po prawej stronie tak jak w artykule poświęconym m.in. mojej książce. (Nie mogę posłużyć się tu tytułami obu tekstów, ponieważ są one do siebie tak podobne, że wyglądałoby to na dadaistyczną zabawę językiem). Ponieważ jest to tylko przykład i materiał para-dowodowy, rezygnuję z podawania imienia i nazwiska autora tekstu wtórnego oraz adresu bibliograficznego, zwłaszcza, że jego praca została, zgodnie z tym, czego dowiedziałem się z mediów, zdyskredytowana jako plagiat i z tego powodu nie powinna być uwzględniana we współczynnikach cytowalności. Można sprawdzić je w artykule W. Uruszczaka. Korzystam tu z wersji elektronicznej tekstu W. Uruszczaka zamieszczonej na stronach Katedry Historii Prawa Polskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie: W. Uruszczak, *Z takim sposobem uprawiania nauki godzić się nie można*, s. 2–3, <http://www.law.uj.edu.pl/~khpp/site/images/adm/Image/Uruszczak%20-%20Tymosz%20recenzja.pdf> [dostęp: 17.09.2015].

<p>o zezwolenie na kodyfikację, co nastąpiło w bulli z 7 stycznia 1418 r. Po powrocie arcybiskupa z soboru w Konstancji praca została najwidoczniej przyspieszona, gdyż rok 1420 przyniósł jej zakończenie. Na synodzie zwołanym do Wieluniu poddano zbadaniu starsze statuty, a może też projekt nowych. Gdy jednak z powodu obszernego materiału sprawa nie mogła być wtedy załatwiona, bo zachodziła zapewne potrzeba uwzględnienia szeregu wniosków czy poprawek do zasadniczego projektu, odroczono synod do 25 września tego roku, przenosząc go zarazem do Kalisza</p>	<p>z Soboru w Konstancji praca została przyspieszona i w 1420 r. zakończona. Na synodzie zwołanym w Wieluniu 13 stycznia 1420 r. poddano badaniom starsze statuty, a może także projekty nowych. Z powodu obszernego materiału sprawa nie mogła zostać załatwiona, bo zachodziły pewne potrzeby uwzględnienia wniosków, poprawek do zasadniczego projektu, stąd synod odroczono do 25 września tegoż roku, przenosząc go do Kalisza.</p>
---	---

Mamy więc tu, po pierwsze, do czynienia z fragmentem długim, przejętym w sposób ciągły, bez jakichkolwiek przerw i obejmującym w oryginale ok. 1 500 znaków ze spacjami, a więc 80% strony znormalizowanego maszynopisu. Elementy w żaden sposób nie zmodyfikowane stanowią znakomitą większość tekstu, a kopiowanie struktury odbywa się dosłownie **zdanie w zdanie** (dwa zdania pojedyncze połączone w jedno złożone, jednak w jego obrębie struktura zdań podrzędnych pozostaje taka sama). Wprowadzone modyfikacje są minimalne i ograniczają się w znakomitej większości do dodania jednej litery, niewielkich wycięć bądź insertacji lub do zmiany czasu gramatycznego. Wreszcie – i to **sprawa absolutnie zasadnicza**, decydująca tak naprawdę o dokonaniu nieuprawnionego przejęcia – **fragmentu tego nie opatrzone przypisem wskazującym na faktyczne jego autorstwo**. Nie ma śladu wątpliwości, że mamy do czynienia z nieuprawnionym przejęciem cudzej twórczości. W. Uruszczak przytacza w swoim tekście kilkanaście tego typu przejęć w pracach autora, którego on dotyczy¹¹. Wybrany przeze mnie fragment wcale nie jest najdłuższy, należy raczej do średniej długości.

Fragmenty cytowane przez W. Uruszczaka z mojej książki i nazywane przez niego „odpisami”, różnią się od powyższego przykładu pod każdym z tych czterech zasadniczych względów: są one krótkie, w większości jednozdaniowe, a dokładne powtórzenia stanowią ich zdecydowaną mniejszość. Byłoby to o wiele lepiej widoczne, gdyby na poziomie redakcyjnym wyróżniono te i tylko te sekwencje wyrazów, które powtarzają się w obu tekstach, tak, jak uczyniłem powyżej. Pozwoliłoby to już na

¹¹ Znów: chodzi o przykłady z tekstu *Z takim sposobem uprawiania nauki nie można się zgodzić*, a nie z tekstu *Z takim sposobem uprawiania nauki godzić się nie można*. W tym pierwszym przykładzie słusznie wykazanych plagiatów nie dotyczą moich tekstów, o których w ogóle się tam nie wspomina. Przepraszam Czytelników i Czytelniczki za zamęt, bo okazuje się, że jednak bez podawania tytułów trudno o precyzyjną wypowiedź.

pierwszy rzut oka ocenić, z jak **minimalnymi** reprodukcjami mamy do czynienia i jakich konkretnie zwrotów dotyczą (zilustrowałem to powyżej na wielu przykładach). W. Uruszczak na taki krok jednak się nie zdecydował, zamiast tego opatrując przedstawione fragmenty własnym komentarzem w przypisach, być może zdając sobie sprawę, że jego „odkrycia” nie bronią się same. Jest to dziwne, biorąc pod uwagę postulowany przez Autora rażący i ewidentny charakter domniemanych naruszeń. W komentarzach tych W. Uruszczak posługuje się czasem przedziwnymi środkami. Mówi na przykład, że coś jest „praktycznie cytatem”. Co to znaczy? W cudzysłowach stawia się **dosłowne powtórzenia** – albo coś nim jest albo nie jest, *tertium non datur*. Jeśli nie ma powtórzenia, mamy parafrazę, a takowa jest dopuszczalna, jeśli opatrzone ją przypisem. Te ostatnie w mojej książce są używane w sposób precyzyjny. Gdzie leży więc problem? Nigdzie. Dlatego W. Uruszczak musi stworzyć go w komentarzu. Podobne wątpliwości budzi informacja o „takiej samej sekwencji argumentów”. Odczytuje ją jako komplement – jeśli ktoś dokonuje omówienia czyjegós rozumowania, powinien w adekwatny sposób zrekonstruować sekwencję jego argumentów. Znów: na czym polega tu problem? Nie rozumiem. Przekonanie W. Uruszczaka, że w omówieniu nie wolno powtórzyć struktury i sekwencji argumentów jest jego własną opinią nieopartą żadnym źródłem. Jest to ujęcie sprawy znów zakrawające na kuriozum uzasadnione **tylko i wyłącznie** użytecznością w obrębie wywodów Autora, a kontrproduktywne, jeśli chodzi o intelektualną rzetelność. Jest **dokładnie odwrotnie niż twierdzi W. Uruszczak**: rzetelne omówienie jakiegokolwiek konstrukcji intelektualnej opartej na logicznej argumentacji, dowodach i przykładach wymaga właśnie zrelacjonowania również i przede wszystkim ich struktury oraz wzajemnego ułożenia: co wynika z czego, dlaczego tak się dzieje, jak przebiega cały proces i jakie są przykład jego konkretnych elementów czy etapów. Moje omówienia są więc właśnie rzetelne, a zastosowanie reguły sugerowanej przez Autora prowadziłyby do produkcji intelektualnych bubli.

Na podstawie lektury całości tekstu W. Uruszczaka **ktoś mógłby odnieść wrażenie**, że jestem oskarżony o masowe stosowanie „nierzetelnych parafraz częściowych”, jednak zgodnie z nieuczciwą konwencją tekstu podobny zarzut zostaje sformułowany *expressis verbis* tylko w odniesieniu do jednego fragmentu. Trzeba jednak pamiętać, że „nierzetelna parafraza częściowa”, „parafraza pozorna” czy „parafraza powierzchowna” (określnie pojawiające się raz w przypisach W. Uruszczaka do wyimków z mojej książki i nigdzie niezdefiniowane) są określeniami opisującymi aspekty stylistyczne i kompozycyjne, a nie terminami prawnymi. Mają swoje źródło być może w opiniach Umberto Eco przedstawionych przez niego w książce przywoływanej przez W. Uruszczaka¹². Piszę „być może”, bo rzeczony książki nie znam, a sposób

¹² U. Eco, *Jak pisać pracę dyplomową. Poradnik dla humanistów*, przekł. G. Jurkowlaniec, Warszawa 2007.

jej zrelacjonowania przez Autora nie pozwala stwierdzić, czy i które pojęcia, jakimi się posługuje, pochodzą z owej publikacji. Nie wiadomo, w którym miejscu kończy się relacjonowanie tez z książki U. Eco, a zaczyna samodzielna refleksja W. Uruszcza, co jest *nomen omen* nierzetelnym sposobem przedstawiania cudzych teorii. Przypis umieszczono na samym początku fragmentu poświęconego dobrym i złym parafrazom, chociaż z tekstu wynika wyraźnie, że dalej w jakimś zakresie omawia się tekst U. Eco. Właśnie tego typu zabiegi, a nie sposób stosowania przypisów w mojej książce, tworzą zamęt. Tylko przypis umieszczony **po** omówieniu cudzych tez bądź tekstów można uznać za poprawnie się do niego odnoszący.

Ale mniejsza o to. Opinie Umberto Eco są opiniami Umberto Eco – być może są słuszne, być może nie. Znów: nie wiem, bo na podstawie omawianego artykułu „naukowego” nie sposób tego stwierdzić; brak w nim nawet jednego spośród przykładów nierzetelnych parafraz podawanych, ponoć, w książce Umberto Eco. Tymczasem W. Uruszcza przedstawia sprawę tak, jakby terminy autorstwa Eco były fachowym odpowiednikiem określenia „plagiat” występującego w prawie (np. w ustawie o szkolnictwie wyższym). Podsumowując, W. Uruszcza **być może** oskarża mnie, że uprawiam naukę w sposób niezgodny z opiniami, których autorem jest **być może** Umberto Eco, z czego nie wynika jednak żaden skutek prawny, chociaż Autor tworzy pozory takiej zależności. Jeśli jest jakikolwiek wniosek, jaki można z tego wszystkiego **na pewno** wyprowadzić, to tylko, że takie postawienie sprawy przez W. Uruszcza **na pewno** nie jest zgodne z konwencją rzeczowej i rzetelnej polemiki naukowej.

W przykładach pochodzących z tekstu mojej książki W. Uruszcza opuszcza te wyrażenia bądź zdania poprzedzające bezpośrednio przytoczane przez niego fragmenty, które jednoznacznie komunikują, z czyimi tezami czy opiniami mamy do czynienia, ściśle definiując początek fragmentu, do którego odnosi się za każdy razem moja parafraza. Tak jest w przypadku domniemanego „odpisu” z książki Krzysztofa Brzechczy (o tym więcej dalej) czy też zarzutu o nieuprawnione przywłaszczenie sobie wyimku z tekstu Ernsta Kantorowicza. Szczególnie ten drugi jest w tym kontekście znaczący, bowiem konstrukcja dwóch zdań relacjonujących zależności przytoczane przez Kantorowicza, z których to zdań Autor przytacza tylko jedno, (zdanie w kolejności drugie), nie pozostawia śladu wątpliwości, że chodzi o przywołanie cudzych tez, których ja, jako autor, nie przypisuję wcale sobie samemu.

Wspomniane powyżej i wywołujące konfuzję powtórzenie przez W. Uruszcza w omawianym artykule tytułu innego jego tekstu, tworzy pole dla kolejnych niejasności. Autor przedstawia sam siebie jako bezstronnego eksperta tropiącego akademickie nadużycia, a powtórzenie z drobną wariacją tytułu **można** zrozumieć – ale tylko można, bo W. Uruszcza nie mówi, że trzeba, co znów otwiera przestrzeń dla nieporozumień i nie jest zgodne z naukową zasadą maksymalnej możliwej precy-

zji komunikowania – jako sygnał, że chodzi o kolejną odsłonę śledztwa, na którego wcześniejszym etapie namierzono faktyczne nadużycia. Na wyższym poziomie powtarza się więc użyty w konstrukcji artykułu retoryczny zabieg metonimii, pozwalający czytelnikowi bądź czytelniczce na wyciągnięcie wniosku, że rzeczy zestawione ze sobą w bliskości – poprzez prawie dokładne powtórzenie tytułu – są do siebie podobne. Tymczasem, jak pokazałem powyżej, w obu przypadkach chodzi o **radikalnie odmienne** praktyki piśmiennicze, których utożsamienie jest właśnie nadużyciem intelektualnym, etycznym, a być może również prawnym (musiałby stwierdzić to sąd; w odróżnieniu od W. Uruszczaka nie występuję w roli *judge, jury and executioner*, jak mówi angielskie wyrażenie). Naraża to odbiorców tekstów W. Uruszczaka na wyciąganie błędnych wniosków, przed którymi Autor nie tylko nie ostrzega, ale do których jego metoda może wręcz kogoś zachęcić. Jest to niedopuszczalne zarówno z etycznego, jak i z intelektualnego punktu widzenia i stoi w rażącej sprzeczności z zasadami konstrukcji opisu naukowego, którego celem jest redukcja niepewności poznawczej i eliminowanie wieloznaczności mogących prowadzić do wyciągnięcia nietrafnych wniosków.

Innym przykładem noszącym znamiona manipulacji jest miejsce, w którym W. Uruszczak zestawia fragment mojej książki z wyimkami z pracy Krzysztofa Brzechczyna *Odrębność historyczna Europy Środkowej*¹³ (pozycja, skądinąd, znakomita). Po pierwsze i przede wszystkim nie jest prawdą, jak sugeruje sposób przedstawienia sprawy przez Autora w jego tabelce, że w tym miejscu nie umieszczam odnośnika wskazującego, że chodzi o przytaczanie wywodów autorstwa innego badacza. Kilka linijek dalej, w miejscu, gdzie **kończy się** relacjonowanie materiału z tekstu K. Brzechczyna znajduje się przypis brzmiący: „K. Brzechczyn, *Odrębność historyczna...*, dz. cyt., s. 199–201”. Nie można ze środka omówienia wyrwać jednego zdania i sugerować, że autor ukrywa źródło. Rażące jest pominięcie zdania poprzedzającego w mojej książce cytowany przez W. Uruszczaka fragment, w którym to zdaniu mówię wyraźnie, że relacjonuję rozważania K. Brzechczyna. Co więcej, jest to akurat moment jego pracy, w którym powołuje się on na Karola Modzelewskiego idącego tropem myśli Karola Marksa. Jest to przeze mnie skrupulatnie odnotowane, co W. Uruszczak przemilcza. Dlaczego? Jest to wygodne dla uzasadnienia stawianej przez niego tezy o nieuprawnionym przejmowaniu przeze mnie fragmentów tekstów będących czyjąś własnością intelektualną. Tymczasem skomplikowane zależności teoretyczne, badawcze pokrewieństwa i tematyczne inspiracje wskazują, że relacjonowane tezy, w tym również obecne w nich sformułowania takie jak „tożsamość klasy panującej i hierarchii stanowej” czy „zależność osobista” odnoszą się do danych i informacji

¹³ K. Brzechczyn, *Odrębność historyczna Europy Środkowej*, Poznań 1998.

należących **od wieków** do obszaru zainteresowania nauk społecznych i będących już dziś częścią ogólnej wiedzy i problematyki z tego zakresu, a nie oryginalnym odkryciem tego czy innego autora. Ich umieszczenie przez Krzysztofa Brzechczyna w cudzysłowie nic tu nie zmienia. Jest to jego wybór, dopuszczalny, chociaż niekonieczny. Nie nadaje on jednak oryginalności przytaczanemu tekstowi w sensie, w jakim oryginalność rozumie prawo autorskie.

Jakby tego było mało, W. Uruszczak, cytując pracę K. Brzechczyna, arbitralnie tnie jego wypowiedź i zestawia obok siebie wyrażenia, które w oryginale ze sobą nie sąsiadują. Brzmienie wypaczonego w ten sposób oryginału upodabnia go do mojej wypowiedzi. W rzeczywistości dwa zestawione ze sobą wyrażenia zaczerpnięte są w ogóle z **innych stron** książki K. Brzechczyna. Dlatego niepoprawny jest adres bibliograficzny, jaki podaje W. Uruszczak: cytowane przez niego fragmenty pochodzą ze stron o numerze 199 oraz 200 rzeczonej publikacji, a nie tylko ze strony 199, jak podaje. **Nie wolno modyfikować cudzych słów po to, aby udowodnić domniemaną konieczność użycia cudzysłowu.** Sekwencja wyrazów skonstruowana w ten sposób przez W. Uruszczaka nie jest poprawnym zdaniem czy wyrażeniem (brzmi ona: „...«tożsamość klasy panującej i hierarchii państwowej» (...) «brak znamion zależności osobistej bądź gruntowej»”). Widać, że czegoś w niej brakuje, chociaż nie jest samo w sobie jasne, na czym polega błąd: może być to błąd interpunkcyjny (opuszczenie przecinka) albo składniowy (opuszczenie spójnika). Czytelnik bądź Czytelniczka może czuć się zakłopotana, jednak W. Uruszczak przychodzi tu natychmiast w sukurs, sugerując zarówno wyimkiem z mojej książki, jak i powtarzanymi wielokrotnie sugestiami o dokonywaniu przeze mnie nieuprawnionych przejęć sporych fragmentów cudzych prac, że w brakującym miejscu znajdowało się coś małego, co ja tylko na poziomie redakcji tekstu zastąpiłem spójnikiem, udając, że parafrazuję. W rzeczywistości jednak taka sekwencja wyrazów jest dziełem W. Uruszczaka, a nie Krzysztofa Brzechczyna. Wyrażenia tworzące ową sekwencję rozsiane są w oryginale, jak wspomniałem powyżej, na różnych stronach i oddzielone od siebie wieloma innymi wyrazami.

Tak jak w omówionym powyżej przypadku Kantorowicza, szczególnie nagan-ny jest fakt, że cała operacja nosi znamiona celowej i świadomej. Gdyby miała być dziełem przypadku bądź przeoczenia, musiałoby to oznaczać, że Autor, komponując swój wypis z książki K. Brzechczyna, nie zwrócił uwagi, iż pominął wiele wyrazów i przewrócił stronę, tymczasem trzykropek w nawiasie wyraźnie komunikuje, że jest on świadom dokonanych pominięć. Szkoda, że nie dał Czytelnikom i Czytelniczkom szansy na samodzielną ocenę, jak duży fragment pominięto, jakich rozmiarów są powtórzenia (mój przypis wyraźnie mówi o relacjonowaniu wywodów zamieszczonych na 3 stronach, tymczasem W. Uruszczak przedstawił wyimek o wielkości

213 znaków, czyli ok. 3% objętości relacjonowanego źródła¹⁴) i nie poinformował poprzez poprawny adres bibliograficzny o położeniu wyrażen konstituujących zmontowaną przez niego sekwencję wyrażen. W. Uruszczak wydaje się mniemać, że prawda to konstrukcja zbudowana z dwóch ćwierć-prawd i jednego pół-kłamstwa. Nie znam reszty twórczości Autora, ale jeśli jest ona zbudowana w podobny sposób, to raczej jego dorobek, a nie mój, należałoby poddać skrupulatnej analizie pod kątem naruszania standardów pracy naukowej.

Po odkryciu drugiej tego typu manipulacji w artykule W. Uruszczaka postanowiłem nie sprawdzać pod względem poprawności cytowania reszty wyimków z prac zaprezentowanych przez Autora. Jestem człowiekiem zbyt zajęтым sprawami o realnej wartości i wadze, aby bawić się w tropienie równie żałosnych operacji. Uważam również, że wobec zgromadzonego poza tym materiału dowodowego dalsze badanie i dokumentowanie nadużyć W. Uruszczaka byłoby nie tylko poniżej mojej godności (ileż można babrać się w czymś, czego odpowiednie nazwanie nie licuje z rangą łamów czasopisma naukowego?), ale zakrawałoby na pastwienie się nad Autorem, co nie jest moim zamiarem. Występując tu jako osoba, której rzetelność oraz wiarygodność jako naukowca została poddana w wątpliwość, wiem doskonale, że oskarżenia takie dotyczą zawsze nie tylko efektów czyjejś pracy, ale również etycznej oceny jego samego bądź jej samej jako jednostki. Powiem jednak szczerze, że to nie ewentualny uszczerbek na wizerunku, jakiego zdaniem kogoś mógłbym doznać w efekcie publikacji artykułu W. Uruszczaka, uważam tu za swoją największą stratę. Prawda jest na wierzchu, każdy i każda może przekonać się, jak wyglądają metody uprawiania „polemiki” „naukowej” proponowane przez W. Uruszczaka. Trudno brać to na poważnie z merytorycznego punktu widzenia.

Za swoją największą stratę spowodowaną tekstem W. Uruszczaka uważam naruszenie mojej wiary w dobrą kondycję i rzetelny sposób funkcjonowania polskiego pola akademickiego. Można stwierdzić, że sam ponoszę winę za własną naiwność, bo będąc w jego obrębie aktywnym od ponad dekady, mogłem wcześniej zmądrzeć. Nie zgadzam się z takim poglądem. Przeciwnieństwem naiwności nie jest mądrość, ale cynizm, a być skazanym na cynizm to jedna z największych porażek, jakich może doznać człowiek w swoim moralnym rozwoju. Odmawiam przyjęcia pozycji cynicznej świadomie, celowo i wbrew temu wszystkiemu, co przedstawia sobą artykuł „naukowy” W. Uruszczaka. **Łamy czasopism naukowych nie mogą być areną prowadzenia osobistej wendetty.** Dlatego też chociaż nie mam ani cienia

¹⁴ Tu i w innych miejscach tekstu używam terminu „źródło” w sensie potocznym tak jak w wyrażeniu „źródło cytowania”, a nie w sensie, w jakim funkcjonuje ono w naukach historycznych. Mam do tego prawo – nie jestem z wykształcenia historykiem i nigdy nie aspirowałem do instytucjonalnego rozpoznania jako historyk. Moje prace należą do dziedziny przede wszystkim kulturoznawstwa i socjologii, miejscami również filozofii.

litości dla argumentów i wyводу W. Uruszczaka, których jakość intelektualna jest żalosna i nie mam jakichkolwiek oporów przed ich demaskowaniem, kwestię oceny, czy Autor działał w dobrej czy w złej wierze i spekulacje, czym motywowany był jego akt, pozostawiam całkowicie poza niniejszym tekstem. Każdy i każda może dokonać tego rodzaju oceny w swoim własnym sumieniu, samodzielnie ustalając swoje *minima moralia*.

Muszę przyznać, że odczucia wywołane atakiem W. Uruszczaka na moją książkę są dla mnie, paradoksalnie, również pozytywne. Skoro osoba będąca profesorem tytularnym, pracująca w wiodącym ośrodku akademickim i będąca – zdaniem niektórych – autorytetem w dziedzinie bliskiej tematyce poruszanej przeze mnie w książce, a do tego najwyraźniej bardzo zmotywowana, aby zdyskredytować za wszelką cenę moją pracę, znalazła tylko tak chybione i do tego stopnia naciągane argumenty przeciw jej rzetelności, znaczy to, że wykonałem kawał naprawdę dobrej roboty. Nie mam złudzeń, że w mojej książce znajduje się zapewne szereg uchybień, niedociągnięć czy mankamentów. Jak napisałem już wcześniej, błąd jest rzeczą nieodłącznie związaną z każdą działalnością ludzką. Analiza źródeł o charakterze encyklopedycznym przeprowadzona w 2005 roku przez redaktorów pisma *Nature* pokazała, że *Encyclopædia Britannica* zawiera średnio ok. 3 błędy w badanych przez zespół pisma artykułach encyklopedycznych poświęconych tematyce naukowej¹⁵. Co należy w związku z tym zrobić? Przekreślić w całości *Britannicę*, a autorów „inkryminowanych” artykułów podać w stan oskarżenia za fałszowanie teorii naukowych? Wniosek ten wydaje się bzdurny, taką jednak strategię trzeba by przyjąć, stosując logikę rozumowania proponowaną przez W. Uruszczaka. Tak więc, chociaż nie mam wątpliwości, że moja praca skażona jest jakimiś błędami, niedociągnięciami i potknięciami, **żadne z nich pojedynczo ani nawet wszystkie zebrane razem nie mogą być podstawą do poddawania w wątpliwość mojej rzetelności, kompetencji ani dobrej wiary jako badacza naukowego, a tym mniej być podstawą do kwestionowania etyczności bądź prawości mojego postępowania**. Nie wolno zapominać, że w dyskusjach naukowych, tak jak w postępowaniu procesowym, oskarżenia formułować należy zgodnie ze ściśle określoną procedurą: najpierw zbierać potencjalne dowody i testować ich wartość na tyle, na ile tylko się da **przed** sformulowaniem aktu oskarżenia. Nie wolno najpierw formułować oskarżeń na podstawie wątplych danych (tym bardziej, jeśli są one stronniczo interpretowane i manipulowane, co jest, jak pokazałem, problemem w przypadku tekstu W. Uruszczaka), licząc na to, że

¹⁵ Co ciekawe, internetowa encyklopedia Wikipedia nie jest pod tym względem o wiele gorsza. W badanych artykułach poświęconych problemom naukowym znajdują się tam średnio 4 błędy. Wyniki tych analiz skrótkowo omówiono na internetowych stronach pisma *Nature*. Zob. T. Hannay, *Comparing Wikipedia and Britannica*, http://blogs.nature.com/nascent/2005/12/comparing_wikipedia_and_britan_1.html.

jeśli ktoś jest uczciwy, to się wybroni. Tymczasem ani W. Uruszczak ani nikt inny nie podjął trudu sprawdzenia siły i poprawności zarzutów, jakie stawia się mojej książce. Przedstawiony przeze mnie powyżej przykład pomyłki edytorskiej, której efektem jest złe oznaczenie cytatu z książki A. Zajączkowskiego, pokazuje, że należałoby to jednak wykonać. Akurat jeśli chodzi o błędy edytorskie nie jest to trudne – wystarczyło zwrócić się do wydawnictwa Universitas (z siedzibą w Krakowie) o udostępnienie maszynopisu, który został przeze mnie złożony do druku. Tylko ten dokument może być uznany za wyraz **intencji** moich jako autora. Nic nie stało również na przeszkodzie, aby W. Uruszczak skontaktował się ze mną i zaprosił na rozmowę w celu omówienia swoich odkryć – pracujemy w jednym ośrodku akademickim, a Wydział Prawa i Administracji UJ mieści się dokładnie 130 metrów od Wydziału Polonistyki, gdzie pracuję. W. Uruszczak zadał sobie duży trud, aby zebrać materiał jego zdaniem dowodowy mający wspierać stawiane oskarżenia, nie zadał sobie jednak **żadnego** trudu, aby zweryfikować go w zakresie, w jakim mógł to stosunkowo prosto uczynić. Powiem szczerze, że to oraz fakt, że o całej sprawie dowiedziałem się przez przypadek (dzięki życzliwości osoby, która musi pozostać anonimowa, aby nie była niszczone przez podobne „polemiki” „naukowe” lub działania o jeszcze bardziej nagannym charakterze) i że musiałem sam zgłosić się do redakcji pisma – w którego radzie zasiada W. Uruszczak (*sic!*) – z zapytaniem o możliwość wglądu w artykuł W. Uruszczaka, tworzy we mnie wrażenie, że w całej sprawie chodziło o zadanie mi niespodziewanego ciosu, na który mógłbym na łamach pisma „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego” odpowiedzieć najwcześniej po roku.

Zakończenie tekstu W. Uruszczaka nie wydaje się połączone z resztą tekstu ani żadnym związkiem przyczynowo-skutkowym ani wewnętrzną koniecznością. Wyraża on w nim swoje przekonanie – arbitralne i niepoparte żadnymi danymi – że ktoś, kto popełnia drobne błędy w zakresie cytowania i omawiania cudzych tekstów, jest również całościowym oszustem i hochsztaplerem. Taki wniosek wspiera, jego zdaniem, „doświadczenie”, nie wiadomo jednak, o jakie doświadczenie chodzi: czy o badanie bądź eksperyment przeprowadzony przez Autora (doświadczenie w sensie, w jakim tego terminu używa się w naukach eksperymentalnych) czy może o zgromadzoną przez niego mądrość życiową¹⁶. Jeśli o to drugie, to nie wiemy, na ile obserwacje te wsparte są doświadczeniem innych uczonych. Z jaką częścią tekstów naukowych publikowanych w Polsce mógł mieć do czynienia W. Uruszczak w swojej karierze zawodowej? Z jednym promilem? A może z jedną tysięczną promila? A może z jeszcze mniejszą ich częścią? Trudno w tej sytuacji uznać, że autor poparł swoją tezę jakimkolwiek dowodem, a tym bardziej, że jest to dowód, którego siła

¹⁶ **Komentarz:** Gdybym stosował równie nieuczciwe metody, co W. Uruszczak, wyrażenie to postawiłbym w cudzysłowie tak jak on stawia słowo „naukowiec” w miejscach, gdzie odnosi się ono być może – znów! – do osoby mojej bądź Dariusza Szpopera.

koresponduje z kalibrem stawianych przez niego zarzutów. Bez wątpienia w niektórych przypadkach jest tak, jak twierdzi W. Uruszczak: oprócz małych błędów znajdziemy również wielkie nadużycia. W innych jest bez wątpienia inaczej. Autor nie proponuje **żadnego** sposobu odróżnienia jednych przypadków od drugich. Wydaje się raczej rozumować zgodnie z zasadą przypisywaną przez anegdotę inkwizytorowi Tomásowi de Torquemadzie, który swój rozkaz zabicia wszystkich mieszkańców pewnego miasta uzasadnić miał hasłem „zabijmy wszystkich, Bóg rozpozna swoich”. Proponowana przez Wacława Uruszczaka ekstremalnie rygorystyczna zasada bezwzględego przekreślenia całej pracy przy stwierdzeniu nawet najmniejszych naruszeń reguł cytowania, których rozmiar nie ma, jego zdaniem, znaczenia, nadaje się może na ideę regulatywną fundamentalistycznej moralności religijnej, ale nie może sprawdzić się jako zasada działania sprawiedliwych społeczeństw. Jej wcielenie w życie doprowadziłyby do zwiększenia, a nie zmniejszenia niesprawiedliwości.

Nie wiadomo również, dlaczego w domniemywaniu winy zatrzymać się na oszustwach intelektualnych. Czy ktoś, kto przywłaszcza sobie cudze słowa nie jest również zdolny przywłaszczać sobie cudzych rzeczy? Zapewne. I niewątpliwie to robi, bo „doświadczenie pokazuje”, że nikczemność jest ogólną cechą charakteru manifestującą się w różnych dziedzinach życia. Czyż nie? Dlatego ktoś, kto kradnie bez wątpienia również gwałci i morduje. Co więc zrobić z osobami dokonującymi nawet najmniejszych uchybień w sztuce poprawnego cytowania? Może zamknąć je dożywotnio w więzieniach? Są wśród nich jednak jednostki wyjątkowo, jak określa to W. Uruszczak, przebiegłe. Znów: przebiegłość jest zdolnością czy cechą charakteru, która reprodukuje się w całym spektrum zachowań, istnieje więc ryzyko, że jednostki przebiegłe z więzień pouciekają i będą nadal psuły dyskurs akademicki i „substancję narodu”. Może więc konieczne są bardziej radykalne środki? Nie wiem i wolę się nawet nie domyślać, jak wyglądałby świat urządzony zgodnie z Uruszczakańską¹⁷ zasadą „minimum dowodu, maksimum podejrzeń, maksimum kary”. Uważam ją za nie tylko absurdalną, ale również szkodliwą.

Przekonanie W. Uruszczaka, że detal dyskwalifikuje całość jest również trudne do przyjęcia na czysto praktycznym poziomie. Trafna ocena skali i znaczenia naruszeń własności intelektualnej zależy w oczywisty sposób od czysto relatywnych kryteriów. Nie mówię o stwierdzeniu naruszenia normy prawnej, ale o wyciąganiu z tego faktu wniosków praktycznych: dyscyplinarnych, karnych, etycznych czy ja-

¹⁷ Francuski socjolog Pierre Bourdieu powiedział kiedyś – nie pomnę już, w jakiej okoliczności, więc przytaczam to jako anegdotę, dla której jest też przecież miejsce w tekście nie mającym, jak ten, charakteru naukowego, ale polemiczno-publicystyczny – że niepowątpiewalnym dowodem sukcesu danego naukowca jest powstanie w polu akademickim przymiotnika wyprodukowanego od jego nazwiska. Tym, którzy chcieliby oskarżyć mnie o cynizm, radzę przemysleć różnicę między cynizmem a ironią.

kichkolwiek innych. Należy w nich uwzględnić przede wszystkim absolutny rozmiar pierwotnego oraz wtórnego tekstu i relatywny względem obu tekstów rozmiar naruszeń. Inną wagę ma zawłaszczenie cudzego tekstu lub niewskazanie źródła, jeśli pisze się na potrzeby słownika biograficznego artykuł o długości 2 tys. znaków, z którego 1500 znaków okazuje się plagiatem całej noty biograficznej napisanej przez kogoś innego, a inną niewłaściwe zacytowanie w wielotomowym dziele liczącym 100 arkuszy 10 słów zaczerpniętych z innej obszernej pracy.

Po drugie ocenić należy względne znaczenie nieuprawnionych przejęć dla całego wywodu – czym innym jest niepoprawnie cytować teksty zawierające pojedyncze dane czy informacje o charakterze faktograficznym, a czym innym wnioski, opisy czy analizy przedstawiane przez autora bądź autorkę jako ich **własny, oryginalny i twórczy wkład**. Ocena wagi naruszeń własności intelektualnej musi być też inna dla każdej konkretnej dziedziny twórczej. Sztuka, na przykład literatura, gdzie sama forma językowa jest już przedmiotem twórczości, a czasami, jak na przykład w poezji lingwistycznej, w ogóle zasadniczą przestrzenią kreatywności, musi być pod tym względem traktowana inaczej niż teksty naukowe, których twórczy aspekt polegać ma nie na określonym porządku słów, ale na dostarczeniu oryginalnego wkładu merytorycznego w daną dyscyplinę.

Oczywiście, nie uważam, że plagiatów nie należy tępić. Bez wątplenia są to zachowania karygodne. Jestem jednak zdania, że z epidemią żadnej choroby, tak intelektualnej, jak fizycznej, nie można walczyć, eliminując po prostu natychmiast każdego i każdą, kto przejawia jej jakiegokolwiek objawy. Byłoby to bez wątplenia działanie skuteczne, zapewniające maksimum bezpieczeństwa. Byłoby ono jednak również nieludzkie. Człowieczeństwo nie polega na rozwiązywaniu problemów w sposób skuteczny dzięki bezwzględności. Tak działać mogą maszyny, ale nie podmioty moralne. Nadrzędnym celem powinno być konstruowanie mechanizmów nie tylko prawych, ale również sprawiedliwych. Do takich nie należy metoda proponowana przez W. Uruszczaaka.

Wspominam o tym wszystkim niejako na marginesie, bo fundamentalny metodologiczny problem z zakończeniem tekstu W. Uruszczaaka jest inny: składają się na niego przede wszystkim postulaty dotyczące etyki i etosu pracy naukowej. Autor mówi, jak jego zdaniem powinno być. Ma się to nijak do zgłaszanego przez niego samego przekonania, że zadaniem nauki – a więc z konieczności również tekstów naukowych – powinno być poznawanie obiektywnej rzeczywistości. W ten sposób Autor w zakończeniu swojego artykułu sam przeczy temu, co postulował na jego początku.

Pozostaje jeszcze jedno, najistotniejsze pytanie: jaki jest cel niespójnych rozważań W. Uruszczaaka? W jednym miejscu stwierdza on, że za wykryciem intelektualnych nadużyć nie musi iść postępowanie dyscyplinarne lub karne. Gdzie indziej twier-

dzi, że konsekwencją powinno być ponowne przeprowadzenie postępowań awansowych. Czy i jakie wnioski należy wysunąć wobec konkretnych, omawianych przez Autora uczonych, tego nam nie mówi, co zgadza się z jego strategią retoryczną opartą na metonimii i niejednoznaczności. Zabiegi takie mogłyby mieć być może pewną wartość w kontekście np. walki politycznej, jednak ich pojawienie się w tekście naukowym jest **niedopuszczalne**.

Teoria języka dostarcza użytecznych narzędzi, aby opisać proces, jaki się tu dokonuje. Lokucja – wypowiedź językowa – ma swoją illokucję oraz perlokucję. Oprócz tego, co się powiedziało, jest jeszcze zamiar czy też intencja kierująca wypowiedziącym oraz zamierzony przez niego skutek. W. Uruszczak skonstruował swój tekst tak, aby dzięki wieloznacznościom, brakowi powiązania między poszczególnymi częściami tekstu, metonimicznego tylko a nie kauzalnego łączenia pojęć i zjawisk, ocenę illokucji i perlokucji pozostawić całkowicie Czytelnikowi bądź Czytelniczce. Nie są to wnioski trudne do sformułowania, ponieważ metonimia zaproponowana przez Autora czyni pewne interpretacja zdecydowanie bardziej prawdopodobnymi niż inne. Czy jest coś, co bardziej podważa wiarygodność naukowca niż oskarżenie go o bycie systematycznym i całościowym plagiatorem? Czy oskarżenie pozostające w zawieszeniu, nie do końca wypowiedziane i nieudowodnione, chociaż metonimicznie sugerowane na poziomie samych zestawień nie ma również pewnej mocy performatywnej? Czy jest coś, czym można **próbować** bardziej zastraszyć pracownika bądź pracowniczkę naukową niż wizja utraty stopni bądź tytułu naukowego? To ostatnie uderza nie tylko w samą renomę czy pozycję symboliczną danej osoby. Stopnie i tytuły nie są orderami, które nosimy w klapie dla dodania sobie prestiżu. Decydują one o samej zatrudnialności pracowników i pracowniczek naukowych. Czy działania skalkulowane na to, aby wywoływać w kimś ten rodzaj lęku nie należałoby określić mianem „akademickiego terroryzmu”? Podważanie kompetencji pracowników naukowych przeprowadzane przy pomocy naciągniętych i niespójnych wywodów przywodzi na myśl praktyki znane z najbardziej mrocznych okresów nie tak dawnej wcale historii polskiego świata akademickiego, kiedy z niewygodnymi, aczkolwiek dobrze uzasadnionymi poglądami radzono sobie, eliminując z akademickiego obiegu ich fizycznych nosicieli. We współczesnym ultrakonkurencyjnym świecie akademickim samo poddanie w wątpliwość – nawet pośrednie i niewyartykułowane *expressis verbis* – rzetelności i wiarygodności badacza stanowi dla niego gigantyczne obciążenie. Ktokolwiek robi to w sposób pokrętny, posługując się wątpliwymi trikami retorycznymi i wieloznacznością, nie dysponując mocnymi dowodami o najwyższym stopniu pewności, zachowuje się po prostu podle i nikczemnie. Czy **tak czyni Wacław Uruszczak** w swoim tekście, pozostawiam samodzielnej ocenie Czytelników i Czytelniczek. Osobiście, jako uczony i jako człowiek, nie mam natomiast wąt-

pliwości, że z takim sposobem uprawiania „polemik naukowych” – ani żadnych innych – godzić się nie można!

Postscriptum

Działanie polegające na dokonaniu przez W. Uruszczaka modyfikacji artykułu po tym, jak złożyłem już w Redakcji swoją odpowiedź, nie wywołuje we mnie entuzjazmu, aby ująć rzecz delikatnie. Zapewniono mnie wcześniej, że mam do czynienia z ostateczną wersją tekstu. Ze względu na krótki czas, jaki dano mi na odpowiedź, nie jestem w stanie sprawdzić, czy Autor nie dokonał również innych modyfikacji, które nie są oznaczone w przekazanym mi pliku. Po tym, jak zmienił on brzmienie tekstu osoby trzeciej (Kantorowicz), aby „udowodnić” nadużycia, które w ogóle nie miały miejsca, po W. Uruszczaku spodziewam się naprawdę wszystkiego. Z tego powodu nie mogę też odpowiadać za ewentualny brak korespondencji między moją odpowiedzią a komentowanym tekstem.

Moje wątpliwości są tym większe, że uzupełnienie stanowi kolejny przykład nierzetelnej i zmanipulowanej prezentacji materiału „dowodowego”. Intencja, jaka kierowała W. Uruszczakiem, jest dla mnie jasna: na siłę przedstawić przynajmniej jeden fragment mojej książki w formie podobnej do faktycznego nadużycia, jakiego przykład dałem w powyższym artykule. Aby tego dokonać, Autor sztucznie konstruuje domniemane całości, które ponoć wzajemnie się przypominają. Tnie przy tym arbitralnie zarówno mój tekst, jak i pracę innego badacza (w cytacie z mojej książki urwano nawet kawałek zdania). Jest to zabieg niedopuszczalny. Wycinając z jakiegoś tekstu dwa fragmenty i zestawiając je ze sobą, da się udowodnić każdą, nawet najbardziej absurdalną tezę. Można wyciąć z tekstu Ewangelii wyrażenia „Poszedł i się powiesił” oraz „idź i czyn tak samo”, a później twierdzić, że Pismo Święte zachęca do popełniania samobójstw.

Jeśli jest tak, jak sugeruje W. Uruszczak, że w parze z małymi uchybieniami „nagminnie” idą wielkie nadużycia i że w swojej pracy bezprawnie przejmują duże fragmenty cudzych tekstów, rozszerzenie prezentowanego materiału powinno oznaczać zwiększenie rangi i skali zarzutów. Tak jednak nie jest, z czego Autor musi sobie zdawać sprawę, skoro oba teksty przycina tak, jak jest mu wygodnie. Gdy mówimy o całościach i sporych fragmentach, najmniejszą jednostką, jakiej absolutnie nie należy rozcinać, jest pojedynczy paragraf. Dlatego też uczciwa prezentacja porównywanych fragmentów wymaga ich zacytowania ich obu od początku akapitów, z których pochodzą pierwsze słowa przytaczane przez W. Uruszczaka aż do końca paragrafów, gdzie znajdują się ostatnie. Takie zestawienie przedstawia poniższa tabela.

Z. Wójcik, *Liberum veto*, Warszawa 1992, s. 23–24

Na dwa dni przed upływem terminu normalnych obrad sejmowych, 6 marca, doszło na ulicach Warszawy do scysji i bójki między dworzanami hetmana polnego litewskiego Janusza Radziwiłła i starosty pokrzywnickiego Jana Dominika Działyńskiego. W bójce zginęła jedna czy dwie osoby. Posłowie z Prus Królewskich, z których pochodził Działyński, wniosli tę sprawę na porządek dzienny w ostatnim dniu obrad, to jest 8 marca. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż owa bójka – rzecz w ówczesnej Polsce niemal codzienna! – stanowiła jedynie pretekst, posłom pruskim (zwolennikom dworu) chodziło bowiem głównie o to, by przeszkodzić opozycji w ponownym podjęciu sprawy Radziejowskiego. W napiętej atmosferze stanęła sprawa prolongaty sejmów o jeden dzień. Udało się to osiągnąć, chociaż – jak wszystko wskazywało – i dwór, i opozycja straciły nadzieję na szczęśliwe – to znaczy po swojej myśli – zakończenie sejmów i chętnie widziałyby jego zerwanie. Mimo to, gdy obrady w owym dodatkowym dniu przedłużyły się do późnych godzin, kanclerz wielki koronny Andrzej Leszczyński wystąpił z żądaniem prolongaty o jeszcze jeden dzień. I wówczas stało się.

Litwin, poseł upicki Władysław Siciński oświadczył wszem i wobec:

ja nie pozwalam na prolongację, a następnie opuścił izbę. Posłowie na razie nie zorientowali się w powadze sytuacji, ale wkrótce okazało się, iż poważna część izby stanęła na stanowisku, że dalsze obrady są niemożliwe, chociaż, co niezwykle charakterystyczne:

nikt z posłów – jak pisze Władysław Czapliński – nie chciał otwarcie stwierdzić, że uznaje kontradycję jednego z posłów za absolutnie ważną.

J. Sowa, *Fantomowe ciało króla*, s. 307–309

Ani *liberum veto*, ani jego mocniejsza wersja, czyli *liberum rumpo*, nie zostały formalnie wpisane w żadne akty prawne I Rzeczypospolitej, a ich stosowanie zależało od pewnego rodzaju konwencji. Można było je w praktyce omijać, jeśli nikt nie nalegał na manifestowanie niezgody. Teoretycznie rzecz biorąc w polskim sejmie zawsze obowiązywała zasada jednomyślności, a na sejmie w 1605 roku *explicite* odrzucono możliwość wprowadzenia zasady większości, argumentując, że „większość jest szkodliwa w trudnych sprawach Rzeczypospolitej, gdzie nie kreszek, ale zgody pełnej Rzeczpospolita potrzebuje” [Przypis 35: Cyt. za: Z. Wójcik, *Liberum veto*, Kraków 1992, s. 18.]. Widzimy w tym uzasadnieniu echa sarmackiej ideologii, podkreślającej wyższość zgody i jedności nad podziałem i sporem. *Liberum veto*, które dziś traktujemy jak symbol demokracji szlacheckiej, nie było w praktyce używane aż do połowy XVII wieku, a dokładnie do 1652 roku. Wtedy to w ostatnim dniu obrad sejmów zimowych, 8 marca, gdy kanclerz wielki koronny Andrzej Leszczyński wystąpił z propozycją prolongaty obrad o jeden dzień, poseł upicki, Litwin, Władysław Siciński, wstał, oświadczył „ja nie pozwalam na prolongację” i opuścił izbę bez dalszych wyjaśnień. Chociaż liczni posłowie potępili Sicińskiego, po długich deliberacjach stwierdzono, że sejm nie może jednak dalej obradować. Precedens ten był początkiem niechlubnej tradycji, której kres położyła dopiero Konstytucja 3 maja, znosząc *liberum veto* i wprowadzając w sejmie zasadę większości. Z biegiem czasu stało się ono prawdziwą plagą polskiego parlamentaryzmu. Za panowania Jana Kazimierza na 20 sejmów zerwano „tylko” 7, za Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego na 18 sejmów zerwano 10, ale już za

Nie ulega raczej wątpliwości, że i bez protestu Sicińskiego sejm zimowy 1652 roku nie doszedłby do skutku, interesy obu przeciwnych stron (tj. dworu i opozycji) były bowiem wówczas nie do pogodzenia. Mimo to precedensowym był fakt, że sejm został zerwany przez jednego posła. Na to *novum* w polskiej praktyce parlamentarnej posłowie zgodzili się, gdyż, jak się rzekło, zależało im na tym, by sejm nie doszedł do skutku. Protest Sicińskiego był więc faktycznie pierwszym *liberum veto*. Nie był nim, jak całkowicie przekonywająco udowodnił Czapliński, protest Jerzego Lubomirskiego w roku 1639, poparło go bowiem wówczas wielu posłów, i to formalnie, sejm więc został zerwany głosami grupy posłów, a nie pojedynczego przedstawiciela szlachty.

Trzeba stwierdzić, że Siciński miał formalnoprawną podstawę do zerwania sejmu, instrukcja sejmiku upickiego zobowiązywała go bowiem do obrony ważnych dla powiatu kwestii podatkowych, w sprawie których zapadł w sądzie sejmowym niekorzystny dla tamtejszej szlachty wyrok. Atoli nic ro było rzeczywistym powodem zerwania obrad. Za Władysławem Sicińskim krył się Potężny oligarcha litewski, hetman polny Wielkiego Księstwa i starosta żmudzki Janusz Radziwiłł, który wypchnął skromnego szlachcica na arenę wielkich wydarzeń. Czym się kierował butny magnat czyniąc ten ruch upickim pionkiem na szachownicy politycznej? Władysław Czapliński uważa, że Radziwiłłowi chodziło o dwie sprawy. Po pierwsze chciał w ten sposób ostrzec króla, by nie odważył się pominąć go przy rozdawaniu wielkiej buławy litewskiej, gdy ta będzie wakowała po śmierci dotychczasowego hetmana Janusza Kiszki. Ta interpretacja znajduje wyraźne potwierdzenie źródłowe w relacji jednego z obserwatorów obrad sejmowych. Po drugie, na co również mamy świadectwa źródłowe, hetman polny litewski poczuł się dotknięty do głębi, że sąd sejmowy zdjął infamię

Augusta II Mocnego na 13 sejmów tylko 4 doszły do skutku, a za Augusta III na 13 – żaden. Dziwi więc opinia Andrzeja Walickiego wyrażona w tekście *Trzy patriotyzmy*, gdzie pisze on:

„Zdecydowany sprzeciw choćby jednego posła powodował zerwanie Sejmu i unieważnienie wszystkich jego decyzji, a więc jednostka gotowa spowodować takie konsekwencje musiała mieć ogromną determinację i absolutne przeświadczenie o własnej słuszności. W zbiorowości mocno zintegrowanej i ożywionej „republikańską cnotą” wypadek taki zdarzyć się mógł jedynie w sytuacji zupełnie wyjątkowej. Tak właśnie argumentowali polsko-litewscy obrońcy „złotej wolności” i trzeba przyznać, że w tej akurat kwestii trudno odmówić im racji” [Przypis 36: A. Walicki, *Trzy patriotyzmy*, w: tegoż, *Naród, nacjonalizm, patriotyzm. Kultura i myśl polska. Prace wybrane*, dz. cyt., t. 1, s. 353.]

Było dokładnie odwrotnie: zrywanie sejmów to reguła, a nie wyjątek. Najwyraźniej szlacheckiej społeczności nie ożywiała „republikańska cnota”. W rzeczy samej, jak przekonywałem w poprzednim rozdziale, nie była ona w ogóle ożywiona, ale martwa. Jedyną wspólnotę stanowiła doraźna wspólnota interesów, która znikwała, gdy interesy partykularne dało się realizować w partykularny sposób.

Jakie były motywacje Sicińskiego? Otóż posiadał on, co prawda instrukcje sejmikowe, aby nie dopuścić do niekorzystnych dla swojego powiatu zmian podatkowych, w sprawie których sąd sejmowy wydał niekorzystny wyrok, swoje znaczenie miała jednak inna jeszcze kwestia: za Sicińskim stał potężny magnat litewski Janusz Radziwiłł, ten sam, którego znamy z układu w Kiejdanach, a jego kuzyna Bogusława z traktatu w Radnot, „pierwszego rozbioru Polski”. Radziwiłłem, zagorzałym przeciwnikiem Jana Kazimierza,

<p>z Jerzego Słuszki, podskarbiego nadwornego litewskiego, zasądzoną przez komisję wileńską, której przewodniczył właśnie Radziwiłł. Słuszka został ogłoszony infamisem za pobicie i poranienie żołnierza. Hetman uznał decyzję sądu nie tylko za kamień obrazy, ale i za pogwałcenie swych prerogatyw, ponieważ za naruszenie swych praw suwerennych na terenach podległych jego władzy. Inne ewentualne motywy podjętego przez Radziwiłła działania nie wydają się istotne.</p>	<p>kierowały dwa motywy, oba skrajnie partykularne i nie mające nic wspólnego z interesami Rzeczypospolitej, a nawet samej Litwy. Po pierwsze, chciał on dać królowi do zrozumienia, że ten popełni błąd, jeśli nie powierzy mu wielkiej buławy litewskiej, która pozostawała nieobsadzona po śmierci hetmana Janusza Kiszki. Po drugie, Radziwiłł był oburzony tym, że sąd sejmowy zdjął infamię z podskarbiego nadwornego litewskiego Jerzego Słuszki, którą zasądziła komisja wileńska pod przewodnictwem właśnie Radziwiłła. Aby zamanifestować swoją władzę, Janusz Radziwiłł, korzystając z usług swojego klienta szlachetki Sicińskiego, zerwał sejm Rzeczypospolitej.</p>
---	---

Nie sądzę, aby obszerny komentarz był tu potrzebny. Nie tylko zbieżności są minimalne, ale oba teksty dotyczą – wbrew temu, co sugeruje w komentarzu W. Uruszczak – innych spraw. Opisy okoliczności zgłoszenia pierwszego *liberum veto* są w obu drugorzędnymi, kompozycyjno-stylistycznymi parafernaliami. Można by zamiast nich napisać „Siciński zerwał sejm, nie oprotestowano tego skutecznie, manipulował nim Radziwiłł” i z punktu widzenia argumentacji oraz całych wywodów byłoby to dokładnie to samo. Czy są to zresztą odkrycia Zbigniewa Wójcika – bardzo wątpliwe. Ale mniejsza o to. Ważniejsza jest inna sprawa: dla Zbigniewa Wójcika kluczowe jest w tej partii książki pytanie, czy weto Sicińskiego było czy nie było pierwszym *liberum veto* w historii polskiego parlamentaryzmu, mnie natomiast zajmuje przede wszystkim kwestia popularności owej praktyki i jej ustrojowych konsekwencji. Twierdzenie, że jeden fragment jest kopią drugiego nie ma sensu, ponieważ są one w znacznej mierze o czymś innym. Tylko manipulacja W. Uruszczaka tworzy przypominające się „całości”.

Warto również zwrócić uwagę, że tekst Zbigniewa Wójcika w rygorystycznej perspektywie wszechobecnych podejrzeń wypada o wiele gorzej niż mój. Sygnalizuje on, że przytacza opinie Władysława Czaplińskiego, nie wiadomo jednak, w którym dokładnie miejscu kończy się ich omawianie, a zaczyna własny tekst Wójcika. Cytat z Czaplińskiego nie jest opatrzony żadnym przypisem. Autor *Libera veto* wspomina również w dwóch miejscach, że przytacza informacje zgodne z jakimiś źródłami, nie wiadomo jednak, z jakimi ani też na ile są one przez niego zmodyfikowane, a na ile powtórzone. Może robi to, aby ukryć jakieś nadużycia? Czy nie należałoby systematycznie przebadać tej publikacji oraz reszty dorobku tego historyka? Tak jak

w innych przypadkach, zastosowanie metody W. Uruszczaaka opartej na skrajnej podejrzliwości prowadzi nas wprost do paranoi. Sensowniejsze wydaje się uznać, że Zbigniew Wójcik zdaje sobie sprawę, iż relacjonuje w tym fragmencie informacje obecne od dawna w wielu źródłach i opracowaniach. Sprawia to, że są one częścią powszechnej wiedzy i jako takie nie muszą być opatrywane przypisami za każdym razem, gdy są reprodukowane. To samo dotyczy mojego tekstu.

Na stronach mojej książki poświęconych *liberum veto* – a nie jest ich bardzo wiele – znajduje się kilka przypisów do tej i innych prac Zbigniewa Wójcika, a w rozdziale, z którego zaczerpnięto przykład, jest ogółem kilkanaście odniesień do trzech różnych prac owego historyka. Twierdzenie, jakoby miał ukryć, że z nich korzysta i że coś celowo zawłaszczył, a następnie fakt ten zataił, jest niedorzeczne. Nie podzielam opinii W. Uruszczaaka, że najlepiej jest dawać przypisy co drugie słowo. Humanistyka jest również rodzajem pisarstwa, a tak poszatkwany tekst jest po prostu zły z punktu widzenia komunikacyjnego, a także stylistycznie oraz kompozycyjnie niepoprawny. Powstaje w ten sposób coś, co Umberto Eco – postać będąca dla W. Uruszczaaka, jak mniemam, najwyższym autorytetem intelektualnym – nazwał „postmodernistycznym cytacją”¹⁸. Ale nawet jeśli, co nie jest dla mnie oczywiste, przyznać Autorowi rację, że w tym miejscu wskazany byłby przypis, to co z tego wynika? Biorąc pod uwagę mały rozmiar podobieństw i ich niewielkie samo w sobie znaczenie, można by wtedy stwierdzić, że W. Uruszczaak znalazł w mojej książce drobne uchybienie formalne. Nie jest to wielkie osiągnięcie. Wątpię, aby teksty samego W. Uruszczaaka lub dowolnego innego autora były w całości od nich wolne. Żaden człowiek nie jest bezbłędną maszyną. Odkrycie uchybienia nic jeszcze nie mówi, skąd ono się wzięło: z celowego działania czy może ze zmęczenia bądź przeoczenia. Uznanie czegoś takiego za potwierdzenie ogólnej i systematycznej nieuczciwości stawia pod wielkim znakiem zapytania przede wszystkim intencje samego Autora.

¹⁸ U. Eco, *Zapiski na pudełku od zapalek*, tłum. A. Szymanowski, Poznań 1992, s. 19 oraz idem, *Innowacja i powtórzenie: pomiędzy modernistyczną i postmodernistyczną estetyką*, „Przekazy i Opinie” 1990, nr 1/2 (59/60), s. 21–28.